

Mysł Polska

Redakcja i administracja:
8, Alma Terrace, Allen Street,
London, W. 8. tel. WESTERN 1797
Prenumerata: półroczna 18 s lub
3 dol., roczna £ 1.16.0 lub 6 dol.
Opłata lotnicza do USA półrocz-
nie 1.50 dol., rocznie 3 dol.
Cena pojedynczego numeru
1/6 lub 25 c.

NIE MA POWROTU DO ROKU 1948

WOŁANIE do Moskwy odprawy sekretarzy rządzących partii komunistycznych wraz z ich premierami, ministrami gospodarczymi, wojskowymi i dyplomatycznymi, w pół roku zaledwie po wielkim zjeździe w czterdziestolecie rewolucji bolszewickiej, wskazuje na głęboki kryzys w świecie komunistycznym. Zewnętrznym wyrazem tego kryzysu jest spór z Jugosławią.

WĘGRY ZDECYDOWAŁY

Od r. 1955 oczywiście nie Tito zmienił stanowisko ale Chruszczow. Chruszczow mógł mieć nadzieję, że za cenę liberalizacji stosunków w bloku sowieckim uzyska powrót Tity do tego bloku. Nadziei tych nie zabił lekkomyślnie Tito. Zabił je krwawe stłumienie powstania węgierskiego przez wojska sowieckie. Interwencja pancernych pułków sowieckich na Węgrzech była tym momentem, w którym Chruszczow skazany został na powrót na drogę Stalina. Nie to, że zlikwidował „ortodoksyjnych” stalinowców: Mołotowa, Kaganowicza, Malenkowa, nawet Żukowa i Bułganina, skoro przejął ich politykę. A przejął ją, bo inaczej postąpił nie mógł po interwencji na Węgrzech. Między wizytą w Warszawie a interwencją na Węgrzech było tych kilka dni, w których mogło zmienić się polityczne oblicze świata, gdyby Sowiety miały na swoim czele polityków wysokiej klasy. Przy kompromitacji państw zachodnich mogły wówczas Sowiety przemienić swój system w rzeczywiste sojusze z europejskimi sąsiadami, mogły dać narodom sowieckim znacznie więcej wolności bez obawy rewolucji, mogły pozyskać Tity i zdobyć niesłychanie mocną pozycję w Azji i Afryce. Mogły wreszcie wywrzeć tą polityką wpływ na opinie narodów zachodnich tak wielki, że uzyskałyby rozbrojenie powszechne na korzystnych dla siebie warunkach.

Po interwencji na Węgrzech te możliwości przestały istnieć. Przywołano na nowo siłę i strach. Hasła pacyfikacji świata pozostały już tylko jako frazesy. Świat, chociaż z ociąganiem się i niechętnie, uznał, że „odwilż” i „destalinizacja” były tylko manewrami mającymi doprowadzić do władzy nowego dyktatora, były niejako hasłami wyborczymi, nie programem. Więc dlaczego Tito ma się zgodzić wobec Chruszczowa na to, na co nie chciał się zgodzić przed dziesięciu laty wobec Stalina? Dlaczego Zachód ma wierzyć więcej Chruszczowowi niż wierzył Stalinowi?

DZIEDZICTWO

Chruszczow znalazł się w położeniu Stalina. Każdy jest podejrzanym, każdy jest potencjalnym wrogiem, kogo się nie trzyma całkowicie w rękę. Ostatecznie rządzić można tylko albo zaufaniem albo strachem. Zaufania nie ma, nawet w samej Rosji. Ale rządów strachu nie jest łatwo przywrócić tam, gdzie strach pękł i wychodzi z tego dzwuczka zygzakowata linia polityczna, linia spleciona z przekonywaniem i groźbą, szantażem i represjami. Chruszczow nie może już rządzić, jak Stalin, przy pomocy telefonu i skrytobójstwa. Musi zwotywać zjazdy.

Widocznie w tej chwili potrzebna mu jest mobilizacja sił komunistycznych. Może chodzi tylko o Jugosławię, a może o rzeczy daleko większe. Warto w tym miejscu zwrócić też uwagę na dwa elementy w rozumowaniu bolszewickim. Pierwszym z nich jest przekonanie, że w razie kryzysu gospodarczego „kapitał monopolistyczny” szuka wyjścia w zbrojeniach i wojnie. To jest niekwestionowana dotąd nauka Lenina. Recesja gospodarcza w Stanach Zjednoczonych może budzić najczarniejsze myśli w niektórych kołach sowieckich. Po drugie w przekonaniu Rosjanina Ameryka jest wrogiem odległym i ideowym; wrogiem realnym, powalonym, ale budzącym wciąż grozę, są Niemcy. Perspektywa uzbrojenia armii niemieckiej w broń atomową budzi wszystkie kompleksy i niepokoje.

REAKCJA I „REAKCJA”

Mobilizacja polityczna komunizmu to jest nie tylko mobilizacja wielkich jednostek, uporządkowanie stosunków między państwami podległymi centrali moskiewskiej, to jest także mobilizacja wewnątrz tych państw, uporządkowanie stosunków wewnątrz poszczególnych partii komunistycznych i między tymi partiami a aparatem państwowym. Takie uporządkowanie odbywa się w Polsce już od blisko roku. Ostatnio zmieniono redakcję „Nowej Kultury”, usunięto od kierowania odrodzonym harcerstwem Kamińskiego i jego zwolenników, zakazano publikacji z dziejów Armii Krajowej. Zaczęły się pierwsze od Października procesy przeciw księżom, pisze się o konieczności „ochrony” robotników rolnych, pracujących u gospodarzy. Podatki dla prywatnego rzemiosła podniesiono o sto procent w tym roku.

To tych reakcyjnych (w ścisłym tego słowa znaczeniu) poczyniła znakomicie oświećła referat, jaki wygłosił na zamkniętej odprawie

redaktorów i propagandzystów partyjnych w Warszawie Andrzej Werblan, powracająca gwiazda komunistyczna, niegdyś sekretarz Bieruta, potem odwilżowiec, obecnie porte-parole Partii wobec prasy. Stwierdził on bez ogródek, że większość społeczeństwa polskiego jest przeciw Partii, że chłopcy są „drobnomieszczańskimi”, inteligencja myśli „burżuazyjnie”, robotnicy są ciemni i ogarnięci falą „odpływu” politycznego. Partia nie ma ludzi, którzy mogliby wygrać dyskusję z przeciwnikami. W tych warunkach konieczny jest powrót do metod administracyjnych, do przymusu w dziedzinie kultury i prasy, propagandy i wychowania. Partia ustąpić nie może, bo gdyby nie było „dyktatury proletariatu”, natychmiast nastąpiłby „terror kontrrewolucyjny”. Obraz ten może być tu czy ówdzie przejawem złości ze względów wewnętrzno-partyjnych, ale w zasadzie jest niewątpliwie prawdziwy. Partia komunistyczna w Polsce ma społeczeństwo przeciw sobie. Partia ta nie ma ludzi do walki ideowej, ma tylko funk-

cjonariuszy, i to przeważnie niezbyt gorliwych. Nie może rządzić, może tylko administrować.

Spółeczeństwo polskie przed dwoma laty wykazało duże opanowanie. Wykazało gotowość milczenia o swoich krzywdach i uznania konsekwencji swego położenia geopolitycznego, byleby mu dano możliwość rządzenia się we własnym kraju, choćby z zachowaniem pozorów „sojalistycznych”. Tej możliwości nie uzyskało, a wina nie jest tu wyłącznie po stronie Sowietów, bo współodpowiedzialność ponosi Gomułka i jego grupa: bardziej im zależało na komunizmie niż na Polsce.

Na tych nastrojach, na tym stanowisku, jakie ujawniło się przed dwoma laty, usiłuje obecnie grać grupa „Paxu”. Ogłosiła ona nowe „hasła majowe”. Na pierwszym miejscu swego programu stawia „przywództwo Związku Radzieckiego”. Idzie więc w podległość do Sowietów dalej niż kierownictwo polskiej kompartii, które głosi równość partii komunistycznych wszystkich krajów. Dalsze hasła

tegoż programu głosi konieczność „centralizmu demokratycznego”, to znaczy totalizmu. Natomiast „Pax” żąda „wielowiatopoglądowości” państwa komunistycznego. Jest to oczywisty nonsens, ale nonsens ten ma wymowę. Świadczy on, że wedle oceny tej grupy społeczeństwa polskie, mimo całej nienawiści mas do Sowietów, łatwiej pogodziłoby się ze zwierzchnictwem sowieckim niż z komunizmem.

RE-MOBILIZACJA

A chwila do przypomnienia gotowości uznania przez tę grupę bezwzględnego prymatu sowieckiego jest sposobna. Przecież cały spór z Jugosławią nie toczy się, w gruncie rzeczy o ideologię. Ideologia komunistyczna jest martwa. Chodzi o prymat Sowietów, chodzi o to, co ostatnio znowu stalinowskimi słowami nazywa się „strzeżeniem jak żrenicy oka jednostki obozu sojalistycznego”. Chodzi o mobilizację bloku komunistycznego.

Zjazd moskiewski w listopadzie roku ubiegłego, w czterdziestolecie rewolucji, mimo fajerwerku z pierwszym sputnikiem, nie był zdolny tej mobilizacji dokonać. W ciągu tego roku Chruszczow usunął współzawodników do władzy, wziął pełną odpowiedzialność. W ciągu tego roku spotkał nowy rząd sowiecki wielkie niepowodzenie gospodarcze, zwłaszcza w rolnictwie, i szereg niepowodzeń w polityce światowej. Od roku 1955 zawiody nie tylko nadzieje na odzyskanie Jugosławii, zawiody nadzieje na rozłożenie polityczne Zachodu. Jesteśmy daleko od wizyty Chruszczowa i Bułganina w Belgradzie, ale także daleko od ich pobytu w Genewie. Chruszczow nie wypełnił wielu nadziei swoich towarzyszy. Nie może on w dodatku, żeby użyć zwrotu Churchilla, być likwidatorem imperium. Musi więc tym bardziej przywrócić naderwaną jednostkę dziedzictwa po Stalinie, zmusić do uległości wszystkie partie i wszystkie rządy bloku komunistycznego. Więc ideologiczna okazała się pozorna i słaba. Akcent przenosi się na sprawy gospodarcze i wojskowe, na przymus.

Od roku 1948, roku zerwania Sowietów z Tity i roku zerwania z porzuceniem demokracji w Polsce, minęło lat dziesięć. Zmieniło się przez to dziesięciolecie bardzo wiele. Ale nie zmieniła się istota komunizmu. Oni nie potrafili zdobyć się na nic nowego. Potrafia tylko kręcić się w kółko, tylko wracać do tego, co było lat temu dziesięć. Tylko, że historia nie zna powrotów. Czas jest zjawiskiem jednokierunkowym. A kierunek ten wyznacza nieunikniona entropia, czyli utrata energii. Życie polega na pojawianiu się nowych sił, równoważących, przełamujących entropię. W komunizmie jest tylko mechanika, nie ma nowych, rodzących się sił. Toteż widoczna jest w nim nieubłagana, nieunikniona entropia. Nie ma powrotu do roku 1948. To znaczy można powrócić na pozycję roku 1948, ale ze zmniejszonymi siłami, z osłabioną energią.

Na kryzys komunizmu w Sowietach i w świecie nie znaleziono dotąd żadnego lekarstwa. Nie znalazła go i nowa konferencja w Moskwie.

W. W.

CO SŁYCHAĆ...

W PARYŻU

Nie wiemy jaka będzie dokładnie sytuacja we Francji w chwili, gdy ten numer dotrze do rąk Czytelnika. Ale na pewno nie będzie dobra. Bo nie widać, jak można by odrobić skutki działalności, czy braku działalności, dwóch pokoleń w ciągu dwu tygodni.

Już w okresie Trzeciej Republiki rozpowszechnił się ściśle konspiracyjny stosunek do ojczyzny we Francji. Pod powierzchnią uroczystego patriotycznego frazesu postępował rozkład. Ostatnią bodaj reakcją dowodzącą zdrowia społeczeństwa były demonstracje z okazji afery Stawiskiego w latach trzydziestych, choć i tu poszkodowanie osobiste grało spora rolę. Tymczasem w latach międzywojennych stronnictwa francuskie zmieniły się w „grupy interesów”. Dyrigujący z ukrycia życiem politycznym Republiki Wielkiej Wschód wolnomularski stał się rodzajem wielkiej „combine”. Francja wycofała się z Europy środkowej, zrezygnowała z własnej polityki światowej. Weszło w zwyczaj omijanie problemów zamiast ich rozwiązywania.

Kampania roku 1940 wykazała rozkład armii i społeczeństwa. Pewna reakcja i chęć głębszego poszukiwania zła, wywołana wstrząsem klęski, otrzymała patronat kapitulacyjnego rządu Pétaina i została skompromitowana. Obecnie przepędzili Niemców i przywrócili Francji formalną pozycję mocarstwa. Odtąd już nie rozwiązano żadnego problemu. Nie było rządu. W pierwszej chwili po odzyskaniu wolności wydawało się, że powstaje nowy, trójpartyjny układ polityczny: komuniści, sojaliści i chrześcijańska demokracja, ale to się rozpadło. Rozpadła się także nowa partia generała de Gaulle. Pod naciskiem aliantów wycofano się z Syrii. Przez brak planu i decyzji przegrano stosunki z Wietnamczykami i stracono późniejszą Indochiny. Znowu bez żadnego planu i decyzji wypuszczono Maroko, potem Tunis. Dano autonomię części czarnych kolonii, ale bez korzyści międzynarodowej i bez wdzięczności Murzynów, wszystko w jakiś nieprzyjemny sposób, określany po francusku słowem „mesquin”. Przyjęto ogromną pomoc amerykańską, oddano decyzję w najistotniejszych dla Francji sprawach w ręce amerykańskie, jednocześnie wymyślając na Amerykę i nie przeciwstawiając nic jej polityce. I wreszcie w sprawie Algieru przez lata ani konsekwencji, ani planu.

Wobec zaniku funkcji rządu w społeczeństwie, politykę indochińską, potem afrykańską coraz bardziej robili wojskowi (bo bez polityki jakiejś obejmąć się nie można). I oto doszło do tego, że ci wojskowi w końcu ogłosili się rządem w Algierze, podporządkowali sobie Korsykę, potem lotnictwo i marynarkę i zażądali oddania w Paryżu władzy generałowi de Gaulle. Ponury paradoks sytuacji na tym polega, że de Gaulle nie budzi entuzjazmu narodu, co więcej, nikt się po nim nie spodziewa wielkiego programu politycznego. Po prostu, ponieważ przestał istnieć rząd, pozostały na placu głównie dwie siły: korpus oficerski i partia komunistyczna. Komuniści głoszą program wycofania się z Algieru i dlatego

większość Francuzów woli rządy armii i de Gaulle’a.

W ALGIERZE

Wielu Polaków wykarmionych na prasie anglosaskiej nie może zrozumieć, dlaczego Francuzi nie chcą dać Algierowi niepodległości. Otóż trzeba pamiętać, że Algier to nie są Indie, to nie jest nawet Afryka Południowa. Półtora miliona Francuzów algierskich, to nie tylko silna i lejąca się w kraju. Miasto algierskie są francuskie w znacznie wyższym stopniu niż miasta południowo-afrykańskie są „białe”. Gdyby powstała arabska republika w Algierze, rząd jej musiałby urzędować we francuskim mieście, a tak samo zarządy prowincjonalne. Najbardziej demokratyczne wybory dałaby francuskie rady miejskie w Algierze, Oranie czy Konstantynie. Arabi afrykańscy zaś nie są Anglikami czy nawet Irlandczykami i, przy palącym problemie demograficzno-ekonomicznym, rzecz zakończyłaby się prawie na pewno rzezią. A wszystko o kilkadziesiąt minut lotu od wybrzeża Francji.

W KATMANDU

Nacjonalizm ogarnął nie tylko północną Afrykę. Coraz ostrzej występuje on w Azji. Gdy zabrakło wspólnego wroga w postaci mocarstwa kolonialnego, narodowości miejscowe zaczynają walczyć o miejsce, przekształcając nieraz pozostałe po okresie kolonialnym formacje państwowe.

Na przykład mamy nie tylko spór indyjsko-pakistański, ale obecnie i spór indyjsko-nepalski. To do niedawna najbardziej niedostępne państwo świata, królestwo Nepalu, wprowadza własne linie lotnicze i przekreśla układ z Indiami, które dotąd obsługiwały komunikację w Himalajach.

Równocześnie na Cejlonie ogłoszono stan wyjątkowy. Jest to wynikiem krwawych walk, w których było wielu zabitych. Walki toczą się między Syngalezami, pierwotnymi mieszkańcami wyspy a napływowymi (z Indii południowych) Tamilami, stanowiącymi znaczną część ludności.

I z tegoż samego dnia trzecia wiadomość: w konstytucji dla Singapuru zastrzeżono specjalnie ochronę mniejszości autochtonicznej malajskiej przed przewagą napływowej większości chińskiej.

W MOSKWIE

Kogo witają radośnie i uroczystie władze sowieckie w Moskwie? Gościa zaproszonego przez Mikojanę. Kto jest tym gościem? Herr Beitz. Kto jest Herr Beitz? Jest to dyrektor generalny koncernu Kruppa.

Przez lata propaganda komunistyczna szermowała nazwiskiem Kruppa. Był to symbol: połączenie kapitalizmu, militarystyki i niemieckiej agresji. Wzór wroga. W prasie wychodzącej w Polsce jeszcze całkiem świeżo czytać można było o Kruppie w tej roli. A teraz dyrektor generalny zakładów Kruppa przybywa na zaproszenie Mikojanę. Czy propaganda sowiecka nada tej wizycie rozgłos?

W gruncie rzeczy u bolszewików pogardę budzą sojaliści demokratyczni, a wielcy kapitaliści — szacunek.

W WARSZAWIE

Ruch wyjazdów zagranicznych z Polski zmniejszył się w pierwszym kwartale tego roku bardzo znacznie w porównaniu z rokiem ubiegłym. Odegrały tu niewątpliwie rolę przepisy o paszportach i opłacaniu biletów przez zapraszających. Przede wszystkim jednak skończyła się fala pierwszych wyjazdów, pierwszych odwiedzin krewnych zagranicą.

W pierwszym kwartale tego roku prywatnie „do krajów kapitalistycznych” wyjechało, wedle danych urzędowych, tylko niespełna 5 tysięcy osób. Z tego odwiedziło Niemcy 1826 osób, Anglie 1019, Francję 854, Stany Zjednoczone 438, Belgię 186, Kanadę 144, Austrię 100 i Szwecję 86. Są to cyfry jak na normalne stosunki współczesne bardzo skromne, nie do porównania z ruchem między krajami zachodniej Europy.

W tym samym czasie opuściło Polskę na stałe prawie osiem razy więcej osób. Mianowicie blisko 35 tysięcy osób emigrowało do Niemiec w ramach akcji łączenia rodzin, a przeszło tysiąc wyemigrowało do Izraela. Emigracja do innych krajów była minimalna: po paręset osób wyjechało do Stanów Zjednoczonych, Kanady i Australii, po sto kilkadziesiąt do Anglii i Francji.

W POZNANIU

Poznański „Kaktus” przedstawia skuteczny sposób walki z kapitalizmem: „Spośród naszych działaczy gospodarczych (zwłaszcza handlowych) da się bez większego trudu wytypować liczną i wypróbowaną ekipę, która — po przemyceniu na Zachód i umiędzynarodowieniu w klubach ogniw gospodarki — doprowadzi w krótkim czasie kapitalizm do ruiny”.

Tamże dowcip (skonfiskowany przez cenzurę): „Jaka jest najlepsza droga do socjalizmu? Najdłuższa”.

MATERIAŁY, ŻYWNOSĆ LEKARSTWA do KRAJU

WYŚLESZ NAJKORZYSTNIEJ PRZEZ

P.C. STORES

STEFAN BREWKA

18, QUEEN'S GATE TERRACE, LONDON, S.W. 7

Cennik, zawierający ponad 700 pozycji, wysyłamy bezpłatnie na żądanie.

ADAM NIEBIESZCZAŃSKI

Św. Krzysztof w Pomarańczy

Nowy Jork w maju.

Nowojorski „Daily News” specjalizuje się w ogłaszaniu krótkich ale jedynych listów do redakcji. W okresie funkcjonowania planu Marshalla jeden z czytelników tak napisał: „Dziwnym zbiegiem okoliczności ja i Wielka Brytania cierpimy na tę samą dolegliwość: brak dolarów. Czy Szanowna Redakcja zechciałaby mi doradzić w jaki sposób mógłbym się włączyć w plan Marshalla?”

Onegdaj inny z czytelników zainteresował się sprawami międzynarodowymi, co się na szpaltach tego izolacyjistycznego dziennika zdarza dość rzadko: „największym sukcesem amerykańskiej polityki zagranicznej na przestrzeni ostatnich sześciu czy ośmiu miesięcy było to, że nasz wiceprezydent uszedł z życiem z wizyty w zaprzyjaźnionej Wenezueli”.

TYLKO TORREADORZY WCHODZĄ MIĘDZY BYKI

Przygody Nixona w Ameryce łacińskiej są oczywiście różnie komentowane. Demokraci uważają wybrki anty-amerykańskie za dowód fiaska polityki zagranicznej Dullesa i jednym tchem wymawiają: Peru, Wenezuela, Liban, Algier i nawet Paryż, domagając się nowego „agonizing reappraisal”. Republikanie spod znaku „Daily News” i bratniej „Chicago Daily Tribune” też widzą w tych wydarzeniach potwierdzenia swej tradycyjnej linii i żądają, by Waszyngton raz na zawsze zaprzestał zadawania się z zagranicą, a zaoszczędzone w ten sposób pieniądze podarować podatnikom w postaci obniżki podatku dochodowego. Dulles rozkłada ręce i pyta co można zrobić w sytuacji, gdy tium pali bibliotekę amerykańską w Libanie za to, że Stany Zjednoczone są anty-arabskie, a w Algierze za to, że są pro-arabskie. Gdy się nie ma zasad moralnych i nie podlega kontroli społeczeństwa, to można w Delhi oddawać Kaszmir Indiom, a w Dacca Pakistanowi, potem zaś w „Izwestii” słówkiem o tym nie napomknąć. Gdy jednak amerykański sekretarz stanu opowiedział się w stolicy Indii za utrzymaniem praw Portugalii do Goa, pierwszy zaatakował go za to korespondent nowojorskiego „Timesa” w Delhi.

Osobiście nikt nie ma pretensji do Nixona, poza może sztywnymi dyplomatami republik łacińskich, którzy nie pochwalają, gdy dygnitarz zagraniczny odstepuje od protokołu i miesza się z tłumem. Całowanie niemowląt, klepanie się po plecach i ściskanie rąk przechodniom nie należy do rytuału zarozumiałych potomków hiszpańskich grandów. „Tylko torreadorzy wchodzą między byki” — powiedział jeden z ambasadorów poludniowo-amerykańskich w Waszyngtonie na marginesie spontanicznej wizyty Nixona na uniwersytecie w Limie.

W Caracas wszakże jeden z lokalnych nauczycieli dał takie ogłoszenie do pism codziennych: „Jak zareagowałaby Moskwa, gdyby Polacy przyjmowali Chruszczowa tak, jak my przyjmowaliśmy Nixona?”

Myślę, że główną przyczyną kłopotów amerykańskich w państwach,

które wedle wszelkich reguł gry międzynarodowej powinny być przyjaźnie nastawione wobec Stanów Zjednoczonych jest brak kontaktu przedstawicieli tych ostatnich ze społeczeństwami krajów, w których są akredytowani. Mówili mi to autochtoni w Birmie, Pakistanie i wielu innych krajach. Amerykanie kontaktują się tylko z rządami, a poza tym żyją własnym życiem. Rosjanie i czerwoni Chińczycy wchodzą między lud: włóczą się po wsiach, mieszają z tłumem miejskim, zaglądają na uczelnie, odwiedzają biura i mieszkania prywatne. Amerykanie patrzą na tubylców z okien Cadillaców. Szczęśliwie Nixon dostrzegł ten objaw w republikach łacińskich i odgraża się, że przeprowadzą z Dullesem reformy.

NASTĘPNA WOJNA BĘDZIE „LULU”

Gdy podbrzusze Europy od Algieru do Libanu trzęsie się w kurczowych drgawkach, sekretarz obrony narodowej w Pentagonie, Neil McElroy, drogą logicznych skojarzeń myśli o wojnie. Skromnie w cieniu nowego wielkiego sputnika powstał STRAC, stu-pięćdziesiąt tysięcy korpus uderzeniowy, pod dowództwem generała Sinka z Fort Bragg. 82 i 101 dywizje powietrzne stanowią trzon tego korpusu strategicznego, który w ciągu kilku godzin może być przerzucony o tysiące mil z pełnym wyposażeniem. McElroy powiedział dziennikarzom, że nie wierzy w małe wojny. Jak już do czegoś dojdzie, niech to będzie na solidną skalę. Amerykańskie planowanie wojskowe obliczone jest na zbudowanie zapory przeciw wojnom. „Jeśli nam się to nie uda” — dorzucił dawny fabrykant mydła — „świat jest w prawdziwym trouble. Następna wojna będzie lulu”. Dziennikarzy to zainteresowało: „Chruszczow powiedział, że nas pogrzebie, co Pan na to?” McElroy nie miał wątpliwości: „My pogrzebiemy Chruszczowa. On dobrze o tym wie i dlatego myśli, że na jakiś czas będziemy mieli spokój”.

Uwaga o fabrykantach mydła nie oznacza, że mam zastrzeżenie co do kwalifikacji sekretarza obrony. Wysoki przemysłowiec w Pentagonie, o kędzierzawych włosach i sympatycznym uśmiechu, poczynił sobie bardzo dobrze w przeciwieństwie do wielu polityków, którzy włóczą się po kraju, zapatrzeni w magiczną cyfrę „1960” i zapewniają szpalty dzienników przemówieniami na wszystkie tematy, przysparzając jedynie kłopotów Dullesowi. Prawda, że McElroy wyprodukował pomarańcze, a Moskwa sputniki. Ale w pomarańczach jest medal św. Krzysztofa, zainstalowany przez katolika-mechanika Pawła Lipińskiego z „Martin Company”, a w sputnikach są co najwyżej zdechłe psy. Dożyliśmy zaś czasów, gdy lepiej nie polegać wyłącznie na napędach odrzutowych i mocach nuklearnych. Jak powiedział Lipiński: „próbowaliśmy dwa razy, nie wyszło! Pomyślałem sobie więc, że trochę ekstra pomocy nie zawadzi!” I pomarańcza poszybowała w przestworza ze św. Krzysztofem.

POWIEŚĆ

EGZOTYCZNY EARL'S COURT

Jerzy Peterkiewicz. Future to let. Heinemann. London 1958. Str. ... Cena 15/6.

Jerzy Peterkiewicz zdobył sobie trwałą pozycję na angielskim rynku wydawniczym. Jego nowa, trzecia, powieść angielska jest najbardziej „powieściowa” i najbardziej „rynkowa”. Jego poprzednie powieści („The Knotted Cord” i „Loot and Loyalty”) miały duże walory poetyckie, bardzo staranną i oryginalną konstrukcję i tło dla publiczności angielskiej zupełnie egzotyczne (wieś polska lat dwudziestych, wyprawa Dymitra Samozwańca). Fabuła ich była raczej egzotyczna, daleka od zainteresowań masowego odbiorcy.

„Future to Let” zachowuje staranność konstrukcji i poetyckość ujęcia, ale wprowadza sensacyjną fabułę. Należy do literatury bardziej popularnej, do tego typu, który Graham Greene określa w swojej twórczości jako „Entertainment”. „Future to Let” ma nawet tematycznie znaczne podobieństwo do Greene'a „Ministry of Fear”: kontrast między zwyczajnym życiem londyńskim a wijącym się pod jego powierzchnią spiskiem obcego mocarstwa. Temat to zresztą w literaturze angielskiej nie nowy: ma takie dostoje precedensy jak „Secret Agent” Conrada czy „The Man Who Was Thursday” Chestertona. Można by się także dopatrzeć w nowej powieści Peterkiewicza pewnych wpływów Koestlera („Darkness at Noon”) a nawet Straszewicza („Turysci z bocianich gniazd”). Wszystkie te analogie są jednak drugorzędne. Peterkiewicz jest pisarzem zupełnie oryginalnym. Ma własny język, gorąco chwalony przez krytyków angielskich („Times Literary Supplement”, „The Observer”), którego czystość przeciwstawiono nawet egzotycznej sztuczności języka Conrada. Ma własny sposób obserwacji życia, polegający przede wszystkim na chwytaniu elementu dziwności. Element to zresztą ciekawą się wielką popularnością w literaturze angielskiej. Ma oryginalne poczucie humoru, bardzo odległe od angielskiego „sense of humour”, bo nie przywracające proporcji zjawisk, ale je odwracające. Przy całym humorze Peterkiewicz zachowuje coś z polskiej postawy wieszca.

Trzecia powieść Peterkiewicza jest niewątpliwie postępową z punktu widzenia techniki powieściowej, dostępności i stylu. Jest jednocześnie zejściem poety o piętro niżej w stronę czytelnika.

„Future to Let” ma temat polski, ale przedstawiony oczyma Anglika. Ów angielski bohater powieści dosta-

je w spadku po mało znanym wujku dom na Earl's Court, a w nim lokatorkę Polkę i przez nią wciągnięty zostaje w egzotyczny świat polskich emigracyjnych zawiłości, komicznych i tragicznych. Ten „normalny” i pozornie bezbarwny Anglik jest najlepszą postacią powieści, a kontrast między jego życiowym „bewilderment” a życiem kolonii polskiej zabarwia wszystkie wydarzenia w jedyny sposób. W oczach Anglika środowisko Polaków z Earl's Court jest zrazu tylko groteskowe. Potem spod tej groteski wychyla się rzeczywista tragedia niewoli kraju, spisku komunistycznego i śmierci. A potem wszystko mija jak sen, z chwilą sprzedaży domu. Element romansu reprezentuje polska lokatorka. Jest ona typem niepoliskim i literackim, typem Rosjanki z literatury polskiej. Ten charakter głównej postaci kobiecej pogłębia atmosferę dziwaczności, a o to autorowi chodzi.

Anglik Peterkiewicza widzi oczywiście środowisko polskie zupełnie inaczej niż my je widzimy. U cudzoziemców uderza przede wszystkim to, co jest odmienne i niezrozumiałe. Groteska jest więc literacko uzasadniona i dobór dziwacznych typów mieści się w granicach prawdopodobieństwa poetyckiego. Dopóki Peterkiewicz opisuje ludzi poszczególnych, ich zamięszanie i ich wzajemne stosunki (choć i tu nie brak pewnych nieprawdopodobieństw: na przykład Anglika zauważają z reguły jako jedną z pierwszych rzeczy polski katolicyzm — w powieści Peterkiewicza nie ma najmniejszej wzmianki, która by wskazywała, że Polacy mają, jeżeli nie już jakieś wyznanie, to bodaj jakiś obyczaj religijny) — trzyma się tego założenia. Gdy wszakże przychodzi do opisu stosunków politycznych emigracji, autor, może nieświadomie zupełnie, wypada z roli: groteska widziana oczyma Anglika zamienia się w satyrę widzianą oczyma Polaka. I to w satyrę nie współczesną, lecz sprzed lat kilkunastu. Odnajdujemy tu echo polskiego emigracyjnego satyryka z czasów wojny, Peterkiewicza, walczącego z rządem Mikolajczyka i jego pseudo-chłopów.

Autor ma prawo dobrać do swej powieści takie typy ludzkie, jak mu się podoba i nikt nie może mu zarzucić, że wybiera typy niereprezentacyjne dla środowiska. Z chwilą jednak, gdy usiłuje przedstawić samo jądro, czy szczyt pewnej społeczności, nawet jeśli przedstawia je satyrycznie, ta satyra musi mieć jakiś związek z rzeczywistością społeczną. A jakż związek z rzeczywistością społeczną polskiego Londynu ma elita, w której nie ma ani jednego intelektualisty, ani jednego człowieka z wykształce-

niem a wszyscy działacze należą do zwalczających się partii chłopskich?

Jako satyryk natomiast doskonale jest Peterkiewicz w odtworzeniu postaci reżymowego pisarza-propagandzisty, Atramenta. Typ jest odmalowany „con amore”, bezlitośnie i subtelnie. Najzabawniejsze partie książki, co podkreśla i krytyka angielska, związane są właśnie z postacią Atramenta i jego przegadami.

Pod względem językowym książka jest dziełem nie tylko poety ale i lingwisty. Nazwiska, zarówno polskie jak i angielskie, dobrane są niezwykle przemyślnie. Polonizmy angielszczyzny polskiej, choć oddane nie fotograficznie, doskonale odwzorują atmosferę polskiego sposobu robienia błędów. Odmienne charakterystyki psychologiczne.

Bardzo trafne psychologicznie jest także zakończenie. Czytelnik polski gotów był przyjąć, że angielski bohater powieści związał się dość trwale ze środowiskiem polskim, w którego życiu tak czynny brał udział. Tymczasem okazuje się, że koniec romansu z Polką jest zarazem końcem wszelkich zainteresowań polskich bohatera, który bez bólu powraca do swojej obojętnej samotności.

★
„Future to Let” wydane zostało pod zmienionym nazwiskiem: Peterkiewicz zamiast Peterkiewicza. Ten „spelling” ma ułatwić Anglikom wymowę trudnego nazwiska (na które autor pracował ćwierć wieku). Ale, w takim razie, czemu przed tekstem „The Knotted Cord” był mały wykład jak wymawiać imię „Jerzy”, kiedy tak prosto można było napisać „George”? Czyż lepiej do Piotra?

Nie warto by o tym pisać, gdyby Peterkiewicz nie opracował specjalnego wywiadu z p. Christine Broke-Rose, w którym oświadcza, że coraz mniej jest pisarzem cudzoziemskim piszącym po angielsku, a coraz więcej pisarzem angielskim piszącym na egzotyczne tematy i że uważa za swój obowiązek „odsłaniać detość sloganów społecznych czy politycznych”. Ten ostatni zwrot jest typowym przykładem budowywania ideologii do życia. Każdy pisarz chce mieć jak najszerszą publiczność, jak największą arenę twórczości, nie można oczekiwać od każdego, że uzna sens heroicznego wyrzeczenia, jakim jest trzymanie się narodowego „ghetta”, gdy talentem i pracowitością wywalczył sobie dostęp do literatury w najbardziej rozpowszechnionym języku świata. Ale po co zaraz ta wieszca rola, owo „odsłanianie” ... czego? w.

ZYCIORYS — FRAGMENT 3

DOJRZEWANIE

Sięgając pamięcią w początki swego życia, dość łatwo oznaczyć granicę między wczesnym chłopięctwem a młodzieńczością. Nie jest to jeszcze dojrzałość, ale wielki krok ku niej, gdy umysł ze stanu bierności przechodzi w stan czynny w samodzielnym oparciu o poczucie jaźni. Od tej chwili jakoś świadomie się żyje i bardziej celowo, czepiają się głowie idee, a serca — uczucia bardziej skomplikowane. Nawet uczyć się ławie, młodzieniec zaczyna opanowywać czynnie sytuację swoją w szkole, gotów jest pomagać w nauce innym, zarabiać w ten sposób na swoje utrzymanie, żeby ulżyć rodzicom. Co do mnie widzę swoją tego rodzaju przemianę w porze przejścia do klasy piątej w r. 1880. Miałem wtedy lat 15. Zaczyna się tutaj nowy okres zdobywania świata na swoją rękę i uniezależniania się od domu rodzinnego.

Nowe mieszkanie pp. Świdów było znacznie dogodniejsze. Znajdowało się ono na ulicy Kapitulnej, wygietej łukiem od Placu Katedralnego do dzisiejszej kolejowej. Zajmowało ono dom parterowy należący do posiadłości pp. Bzowskich, z ogródkiem i od tyłu podwórzem. Stancję tę prowadziła p. Rozalia Świdowa ze swoją matką, p. Leokadią Kamińską. Pieczęć męską roztaczał nad całością mąż p. Rozalii, Florian Świda, urzędnik Tow. Kredytowego Ziemińskiego.

Czułem potrzebę wspomnienia o tej rodzinie. Był to przeznaczony dom, jeden z tych smutnych, strąconych z wyżyn dobrobytu, których wówczas pełno było w Polsce. Po uwłaszczeniu włościan chwały się wielkie gospodarstwa rolne, obliczone ekonomicznie na pracę pańszczyźnianą i po trochu padały, właściciele zaś prze-

nosili się do miast, aby tu poczynić życie zarobkowe.

W dwu dużych pokojach gnieździło się chłopów dziesięć czy dwunastu. Pokój stołowy oddzielał je od mieszkani gospodarzy. Dom miał dwa ganki, z tych jeden należał do uczniów, drugi, obrośnięty winem, do rodziny Świdów. Siedział tam ławem z wnuczkami sędziwa p. Kamińska, pochylona nad robotką. Nie znała tam jednak spokoju, harująca bowiem przy pilce chłopcy bez ustanku wrzeszczeni bez żadnej zresztą potrzeby. Aż dziwne, że to drzewo w udeptanym ogródku nie uschło — widziałem je teraz. Te same konary błogosławiły naszej młodocianości.

Było więc ludno w tym domu. Pp. Świdów mieli czterech synów i dwie córki. Najstarszy Kazimierz był już urzędnikiem banku; Stefan, potem lekarz w Stopnicy, był początkowo moim korepetytorem, kończył właśnie szkołę; Adaś dorastał, najmłodszy Florek był dzieckiem. Starsza córka Lucyna była moją rówieśniczką. Marylka zaczynała szkołę. Obie chodziły na pensję pani Glixelli. Żywo mam w pamięci cały ten dom wysoce kulturalny i szlachetny, z godnością dostosowujący się do skromnych warunków istnienia i ciężkiej pracy. Teraz bodaj lepiej widzę i pojmuję melancholię tych warunków pracy niż wtedy.

★
Ileż wspomnę te czasy, zawsze wyrzucam sobie jak grzech swój stosunek jako wychowawcy do chłopów. Dopiero we Lwowie, widząc jak bez wysiłku dzieci się uczą, zrozumiałem, jaka to była ohyda wychowawca. Dzieciom w pierwszych klasach tak trudno było się przygotować do

szkoły, że trzymałem je od obiadu do późnej nocy przy nauce. Chłopcy z domów wiejskich, powoli ruszający mózgiem, jak mówili Rosjanie, o ósmej godzinie już senni, do godziny 11-ej kuć musieli słówka rosyjsko-łacińskie czy inne, nie rozumiejąc znaczenia w żadnym z tych języków. Podniecało się ich krzykiem, ciągnięciem za uszy, linią po łapach, a potem w niedzielę przynosząc do domu złe stopnie. Był taki mały biedny Janek Bronikowski, trochę dziobaty — zawsze mi stał w oczach jako ofiara nocnej nauki. Miałem dwu Bronikowskich, Dąbskiego, dwu Zwierkowskich, dwu Zajdlerów, reszty nie pamiętam.

Patrzając na dzisiejsze w Polsce zbyt liczne szkoły, zabiegające o wszechstronny rozwój umysłów i ciała uczniów, nawet w nauce powszechnej, nie mogę znaleźć dostatecznych podstaw do porównania ich z naszymi ówczesnymi. Choćby dbałość o higienę. W gimnazjum kieleckim — wychowującym kilkuset chłopców, nie było lekarza. Nikt dziecku nie zaglądał w oczy, ani w zęby. Co prawda, nie pamiętam, żeby kto chorował; jakoś zdrowiej było na świecie. Nikt nie przestrzegał takich zabiegów jak mycie zębów albo kąpiele. Nie pamiętam, aby w Kielcach ktoś się kąpał — nie było gdzie. Mycie dotyczyło tylko twarzy w odrobnie wody, przyniesionej ze studni. Tzw. „brudy” (zuzyta bielizna) uczniowie odsyłali do domów na wieś, a poki co składało się ją do brudnej poszewki, którą się trzymało pod poduszką.

Poświęciłem wiele miejsca środowiskom, które mi zastępowały rodzinę, tutaj bowiem odbywało się poznanie świata innego niż domowy

dotąd. Zarówno dom własny jak i takie stancyjne są szkołami równoległymi do urzędowej szkoły. Są to przecież ważne w życiu wydarzenia — w co też przebiega się chłopiec, zrzucając z siebie po trochu szatki naiwności dziecięcej. Jakaż była ważna dla moich młodzieńczych uczuć okoliczność, że pierwszą moją miłość, trwającą w okresie lat naturalnych, tak ekstatyczną i przeczystą, przeżyć mogłem. Wspominałem szerzej o tych czasach właśnie dlatego, że wtedy przeżyłem ją taką, że została mi na całe życie w podłożu pamięci jako miara piękna pozamysłowego.

Jakżeż się działo w szkole w owym czasie, od klasy piątej do matury? Zdarzyło się, że nie zmienialiśmy izby i ławek od klasy piątej. Tak się podobalo naszemu gospodarzowi klasowemu, który nas przez te kilka lat prowadził, a mógł dogodzić upodobaniom, bo był dyrektorem gimnazjum. Nazywał się Severian Januarewicz Woronkow, a uczył łaciny i greckiego.

Ponieważ w zespole kolegów i nauczycieli z roku na rok małe zachodziły zmiany, nie dziwnego, że zajmując te same miejsca w ławkach, przywiązaliśmy się do nich i do ścian, i do siebie, nawet do gospodarza. Było nas zawsze około czterdziestu. Siedzieliśmy w ławkach jesionowych, każda z dwoma tylko siedzeniami. Stały w czterech szeregach ku katedrze i tablicy. Sala nasza była ostatnia na parterze, obok kancelarii.

Siedziałem w przedostatniej ławce pod oknem, przez które patrzeć mogłem stale na ulicę, oraz na mur ogrodu pp. Taylorów i na czuby ich drzew owocowych. Bacznie też z Zygmuntem Kujawskim, który za mną siedział, obserwowaliśmy ruch przechodniów na przeciwległym chodniku, sygnalizując sobie ważniejsze wydarzenia. Zdarzało się, że przechodzili tamtędy znajome dziewczę szkolne, a wtedy roztargnienie nasze nie

miało miary. Towarzyszem moim w ławce był Józef Sanecki, przy Kujawskim zaś siedział Marian Zencykowski. Wszyscy szczęśliwie żyjemy do tej pory. Przede mną stał siedzieli Roman Skowroński i Stefan Tomaszewski, a niżej Edward Łuszczkiewicz — wszyscy ci trzej nie żyją. Bliżko też siebie mieliśmy Jana Zydlera, znakomitość matematyczną.

★
W klasach tych nie byliśmy przeciążeni nauką. Ja osobiście poza godzinami szkolnymi nie tykałem podręczników. Nie miałem na to czasu z powodu zajęć korepetytorskich z chłopcami powierzonymi mojej pieczy na „stancji”. Początki w szkole rosyjskiej były bardzo ciężkie ze względu na język nauczania i zupełnie przypadkowy system przygotowania przedszkolnego. Najcięższe potem były klasy czwarta i szósta, z których przechodziło się wyżej, na podstawie gzaaminów piśmiennych i ustnych. Generalnie „obkuwanie” czekało nas dopiero w końcowych miesiącach klasy ósmej.

Folgowaliśmy sobie i nam folgowano. Pozostało mi wspomnienie profesorów jako ludzi zmęczonych, którym nie zależało na dobrym wyniku nauczania. Wyjątek stanowił ks. prefekt Czerwinski, zawsze w postawie walki ze złem, Tomasz Siemiradzki, z młodzieńczą wiarą budzący umysł, święty pedagog Szperl, rygorystyczny, poprawny, bodaj jedyny, w którym uczeń nie odkrył żadnej słabości. Profesorowie Rosjanie, po dłuższym pobycie w środowisku polskim słabli w swojej mijsyjności rusyfikacyjnej, owszem, sami się polonizowali.

★
Przez cały czas nie zdarzyło mi się słyszeć ze strony nauczycieli Polaków żadnych wskazań lub uogólnień politycznych. Do klasy ósmej nie słyszałem pieśni „Jeszcze Polska nie zginęła”, usłyszałem ją po raz pierwszy na wycieczce w Ojowie. Urodzi-

WIKTOR TROŚCIANKO

B.S.S.R.—KRAJ NAJSROŻSZEGO UCISKU

Bardzo niewiele pisze się o położeniu ludności polskiej na terenie tak zwanej Zachodniej Białorusi, to jest na tym kawałku Polski, która nie została włączona ani do sowieckiej republiki litewskiej, ani do sowieckiej republiki ukraińskiej i stanowi część sowieckiej Białorusi. Jest to teren najbardziej bezwzględnej polityki prześladowania polskości, takiej jej eksterminacji, którą można przyrównać tylko do odpowiednich pociągnień hitlerowskich na ziemiach włączonych do Trzeciej Rzeszy w czasie ubiegłej wojny.

Najpierw kilka słów o polskim potencjale ludnościowym. Obszar, o którym mówimy obejmuje część województwa wileńskiego, część nowogródzkiego, poleskiego i białostockiego. Przed pierwszym wrześniem roku trzydziestego dziewiątego ilość polskiej ludności miejscowej, od wieków tu osiedle — wynosiła ponad półtora miliona głów, ze znacznym przystosem naturalnym. Przyjąć należy, że stan ten nie uległ poważniejszej zmianie do roku czterdziestego piątego. Ubitek, wynikający z akcji eksterminacyjnej okupacyjnych władz sowieckich i hitlerowskich, wyrównał duży przyrost naturalny. Również tak zwana repatriacja powojenna, obejmująca głównie ludność miejską, nie wiele zmieniła geografii ludnościową tych ziem. Z wyjątku poza granicę Bugu skorzystało wtedy od pięciu do dziesięciu procent polskiej ludności wiejskiej i około pięćdziesięciu procent ludności miejskiej. W sumie ponad dwieście tysięcy. Biorąc pod uwagę dane o przyroście naturalnym stan ludności polskiej tego obszaru należy szacować dziś na niespełna dwa miliony osób, nie wliczając w to ludności polskiej zamieszkującej republiki litewską i ukraińską, oraz Polaków pozostałych w Rosji Sowieckiej na wschód od granicy Traktatu Ryskiego. Pewne jest, że na całej Białorusi sowieckiej liczba Polaków przekracza dziś znacznie dwa miliony ludzi.

UCISK NARODOWOŚCIOWY

W stosunku do tej masy polskiej Rosja Sowiecka zastosowała własną wersję polityki „Ausrottung” we wszystkich odmianach tego barbarzyńskiego zjawiska, od religii zaczynając, poprzez język, nauczanie, dyskryminację w pracy, propagandę i zwykły terror policyjny. Wykonywane to wszystko jest przy pomocy nastanego elementu urzędniczego, w którym prymitywizm umysłowy ubiega się o pierwszeństwo z szowinizmem wielkoruskim. Urzędnicy państwowi, a zwłaszcza funkcjonariusze bezpieczeństwa, to zaprawiony w czasach stalinowskich aparat wykonawczy, nadrabiający własną gorliwość białą balaganu systemu sowieckiego. Rysyfikacyjne polecenia, płynące z

góry, z Moskwy, uzupełniają oni własnym okrucieństwem. Miejscowi Polacy nie są dopuszczeni do wykonywania jakiejkolwiek funkcji w administracji państwowej. Wszystkie miejsca w aparacie administracyjnym, po wyrzuceniu z niego Polaków, obsadzają nie Białorusini, a po prostu przyjezdni Rosjanie. Językiem urzędowym, językiem radia i uniwersytetów jest rosyjski. Ponieważ większość Polaków nie posiada dokumentów stwierdzających urzędowo obywatelstwo polskie — przy ładarejstracji zapisywani są jako Rosjanie lub Białorusini. Upieranie się przy narodowości polskiej władze uważają za akt ciemnoty i przejaw wrogiej postawy kapitalistycznej. Osoby wyznania grecko-katolickiego i prawosławnego nie mają prawa uważać się za Polaków, ponieważ — jak twierdzą urzędnicy — jest to wiara „ruska”.

Szczególną walkę wydano językowi i szkole polskiej. Na obszarze tym, zamieszkałym przez blisko dwa miliony Polaków nie ma ani jednej szkoły polskiej. Nie ma też polskich książek w księgarniach nawet miast wojewódzkich. Nawet w stołecznym Mińsku. Do powiatów takich, jak lidzki, oszmiański, iwieński, zamieszkałych w olbrzymiej większości przez ludność polską nie dociera żadna polska gazeta, choćby oczywiście komunistyczna, ale w języku polskim drukowana. Próżno by ktoś szukał dzieciennego elementarza po polsku. Książki i gazety polskie można znaleźć w Moskwie i Leningradzie, ale nie w Nowogródsku czy Lidzie. W szkołach miejscowych język polski nawet jako przedmiot — nie istnieje. Tak dzieje się w państwie, które reklamuje się jako wzór internacjonalizmu, ideał współżycia różnych narodowości, w którym konstytucja pozwala poszczególnym narodom sowieckiego imperium na dobrowolne wystąpienia ze Związku.

W obecnych granicach Polski znalazł się skrawek terytorium, na którym żyje ludność białoruska. Prasa komunistyczna, w tym wypadku tygodnik „Przjaźń”, podaje dziś liczbę Białorusinów w Polsce na sto pięćdziesiąt tysięcy osób. Dla tej grupy narodowościowej czynnych jest 118 szkół, w których wykłada się język białoruski, istnieją 52 szkoły białoruskie, dwa licea ogólnokształcące. Na uniwersytecie warszawskim uruchomiono katedrę filologii białoruskiej. Czynne jest „Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne”. Wydawany jest tygodnik „Niwa”. Zorganizowano białoruski zespół pieśni i tańca oraz dwadzieścia jeden zespołów regionalnych. Tymczasem dla masy polskiej po drugiej stronie rozbiorego kordonu nie ma do słownie nic, poza wzgardą i prześladowaniem.

Nasze dwie ostatnie ławki zyskały nazwę „cukierni”, a to dlatego, że czytało się tam czasopisma, co przypominało kolegom czytelnictwo w cukierni. Podzieliwszy między siebie obowiązki prenumeraty, sprowadzaliśmy przez skiegnię Goldhara: „Prawdę”, „Przegląd Tygodniowy” i „Bibliotekę najcenniejszych utworów”. Za czasopismami nastąpiły książki, których tak wiele a tanich wydawał „Przegląd Tygodniowy”. Zrodziła się pod tym względem pewna emulacja, którą umiała podsycać księgarnia. W Kielcach nie było jeszcze wtedy kolei, transporty warszawskie do księgarń nadchodziły tylko w pewne dni tygodnia. Czekaliśmy na nie niecierpliwie; do nowości nadciągała młodzież i nieliczni profesorowie; tam w tylnym pokoju księgarni spotykało się wszystko, co w Kielcach reprezentowało niejaka do książki sławność.

Patrzę dzisiaj na te spisy rzeczy przeczytanych z pewnych niedowierzaniem, czy mogłem wiele zrozumieć z tego wspaniałego. Gdzie się to wszystko podziało w umyśle? Bo przecież wielu rzeczy dziś nie wiem z tego, co pisał Büchner czy Ribot, a inne na nowo zdobywałem potem. Przypominam sobie, że ta lektura tylko raz wplotła się w naukę szkolną. Było to wnet po przeczytaniu książki Struwego o nieśmiertelności duszy. Z nauką religii, jak można wnosić z niektórych książek, które wymieniam, nie wszystko działo się w myśl wychowawczą ks. prefekta Czerwińskiego. O naszych lekturach niewątpliwie coś wiedział i stosunek swój do

dowianiem. Pamiętajmy: dla masy kilkanaście razy liczniejszej niż mniejszość białoruska w pojałtańskich granicach Polski.

Stan ten w niczym nie zmienił się i po dwudziestym kongresie, który miał zerwać z polityką Stalina wyniszczania całych narodów. W Iwieńcu przedstawiciel miejscowych władz sowieckich, oświadczył, że polskie szkolnictwo nie będzie, bo państwo sowieckie za swoje pieniądze nie będzie zakładało wrogich ośrodków dywersyjnych. Tak wygląda w dziedzinie podstawowych praw człowieka — prawa narodowej odrębności — deklamowana niedawno jeszcze równość we wzajemnych stosunkach Polski i Związku Sowieckiego.

Radio Warszawa, działające jako przekaznik z Moskwy, nadało wiadomość o przygotowaniu do mających się odbyć w maju dniach kultury polskiej na Białorusi. Teatry i zespoły muzyczne miały w tym czasie dać specjalne przedstawienia i koncerty, nawet wystawić „Straszny dwór” Moniuszki i „Damy i Huzary” Fredry, radio białoruskie miało poświęcić cykl audycji literaturze polskiej, a tłumacze zabrali się rażno do tłumaczenia prozaików i poetów polskich. Brzmi to doprawdy jak szderstwo, podobne temu, które Hans Frank urządzał na Wawelu, spędzając barwne góralskie zespoły na pokaz folkloru, a jednocześnie tępiąc bez litości wszelki przejaw życia naukowego i kulturalnego na obszarze poddanym jego władzy. Byłoby chyba ze wszech miar słusniejsze, aby zamiast propagandowych dni kultury, zamiast widowisk i audycji radiowych, Moskwa zdecydowała się na uruchomienie sieci szkolnictwa polskiego dla Polaków i przestała traktować prawa ludności polskiej jako wymysł burżuazyjny.

UCISK RELIGIJNY

Omawianemu przez nas uciskowi narodowemu towarzyszy bezwzględny ucisk religijny. Na ziemiach polskich, włączonych do republiki Białoruskiej, drogą terroru i specjalnych przepisów podatkowych zlikwidowano niemal wszystkie kościoły katolickie i prawosławne. Zachowały się tylko nieliczne świątynie w miejscach o znaczeniu propagandowym. Na kościoły nałożono tak wielkie podatki, że ludność nie mogła ich uścić. W Iwieńcu żaden z trzech kościołów istniejących przed wojną nie jest czynny. Jeden zdążył już zburzyć. Drugi zdewastowali wychowankowie rosyjskiego „Domu Dziecka”. Podobnej dewastacji uległy kościoły w innych miejscowościach, jak na przykład w Lidzie, Baranowiczach, Oszmianie, Nalibokach, Derewnie, Wołmicach, Naborowszczyźnie. Starym-

kach, Kamieniu, Chotowie, Radoszkowicach. Ludzi wierzących zmusza się do pracy w uroczyste święta, przesładowuje się i więzi duchownych. Nie wolno zakładać jakichkolwiek stowarzyszeń o charakterze religijnym.

UCISK GOSPODARCZY

Wbrew nieustannym oświadczeniom o wzroście stopy życiowej, o pokonaniu trudności aprowizacyjnych — życie codzienne jest vegetacją na najniższym szczeblu. Przeciętny zarobek kolchoźnika, to jest olbrzymiej większości ludności wiejskiej — wynosi od trzystu gramów do jednego kilograma zboża dziennie, oraz od trzydziestu kopiejek do jednego rubla za dwanaście do piętnastu godzin pracy. Wyjątek stanowią tylko przewodniczący kolchozów, zazwyczaj jednocześnie funkcjonariusze partii, którzy żyją wygodnie i nawet budują sobie eleganckie wille. Niebawemu wyniszczeniu uległa gospodarka hodowlana. Kolchoz w Prawałach, obejmujący sześć wsi i dwa majątki, posiada siedemdziesiąt sztuk bydła kolchozowego i trzysta dwadzieścia prywatnych. Przed wojną na tym samym obszarze było tysiąc pięćset sztuk bydła. Stan trzody chlewnej w tym samym kolchozie wynosi dziś trzysta sztuk — przed wojną trzy tysiące. Koni posiada dziś kolchoz osiem sztuk plus dwa traktory. Przed wojną koni na tym obszarze rolnym było sztuk czterysta.

W wielu kolchozach przez całe lata całoroczny dochód kolchoźnika wynosił od dwunastu do dwudziestu rubli i od dziesięciu do piętnastu kilogramów pośladu. A były lata, w których także nie nie otrzymywano. Działki przyzagrodowe niewiele wnoszą poprawy do tej niewolniczej wętkacji ludności wiejskiej. Za działkę o rozmiarze trzeciej części hektara trzeba zapłacić dwieście rubli podatku rocznie, a ponadto dostarczyć w formie przymusowej czterdzieści

kilogramów mięsa i sto pięćdziesiąt do dwustu litrów mleka. Z pozostałego zarobku trzeba przeznaczyć sporą część na coroczne pożyczki państwowe — no i... żyć. Nie mając własnej siły pociągowej kolchoźnicy dla zagospodarowania działki nieraz muszą sami zaprzęgać się do pług. Toteż częstym widokiem jest obraz rodziny kolejno ciągnącej pług... w tym raju robotników i chłopów. Ceny artykułów konsumpcyjnych są nadal bardzo wysokie. Jeden kilogram chleba kosztuje dwa ruble. Kilo słoniny trzydzieści pięć rubli, para bućków czterysta rubli, ubranie bawełniane również czterysta rubli, ubranie wełniane dwa tysiące rubli i tak dalej. Po artykuły te trzeba z reguły jeździć do większych miast. Również na zakup chleba mieszkańcy wsi muszą wędrować do miast oddalonych często o kilkadziesiąt kilometrów.

Nieco lepiej żyje ludność miejska, zresztą w większości element napływowy, rosyjski. Ale i tu średni zarobek wynosi pięćset rubli miesięcznie i nie wystarcza na minimum ludzkiej egzystencji.

Większość robotników gnieździ się z rodzinami w pojedynczych pokojach. W Mińsku, na Słepiance w dwudziestu pięciu barakach Fabryki Traktorów mieszka przeszło dwa tysiące robotników. Wielu z nich — to Polacy z przedwojennych województw wschodnich, zmuszeni do ucieczki ze wsi jeszcze większą nędzą.

Zeszyt 6smy
Studium Politycznego Stronnictwa
Narodowego
WŁADYSŁAW FOLKIEWSKI
„PAWŁA WŁODKOWICA
WALKA O POLSKĘ”
Do nabycia: 8, Alma Terrace,
Allen Street, London, W.8
Cena 1/6, dla członków SN 1/-

N A L E K I N I E M A C Ł A
OD 10 LAT

Apteka GRABOWSKIEGO

wysyła setki tysięcy paczek z lekarstwami do Kraju.
Środki lecznicze są w dalszym ciągu potrzebne i poszukiwane.

J E Ś L I L E K I
T O Z A P T E K I

Zamówienia i zapytania prosimy kierować pod następującym adresem:

M. B. GRABOWSKI

175, DRAYCOTT AVENUE, LONDON, S. W. 3.
(ENGLAND)

liśmy się już w obroży, rosyjskość nauki i Rosjan traktowało się jako rzecz naturalną, nie nienawidziłyśmy nikogo z nauczycieli z zasady dla tego samego, że Rosjanin, a jednak duch był polski i on nas łacił w jeden obóz z wychowawcami Polakami.

Starzy nauczyciele Polacy pod groźbą utraty stanowiska nie mogli odezwać się do młodzieży po polsku. Ks. profesor Czerwiński miałby w nas lepszych wychowawców, bardziej do niego przywiązanych, gdybyśmy wiedzieli, jaka to zdobycz narodowa, że tego przywileju języka zdołał obronić. Za bardzo wszystko było naturalne, za mało w ówczesnej przełkniętej, popowstaniowej atmosferze było instrukcji wychowawczej narodowej zarówno po domach, jak i w szkole.

Wyrażania swoich myśli uczyliśmy się szereg lat ostatnich jedynie w wypracowaniach rosyjskich.

Nie wiadomo nigdy, co w tym wieku wstrząsnie i zbudzi myśl senną. Najwięcej dokonał nauczyciel greki, Siemiradzki, komentując czyn Antygony. Taki Naruszewicz, Rosjanin, półobłąkany, który nas niczego nie nauczył, pewnego razu, przerywając wykład o Puszkynie, zapytał:

— A czy znacie ten wiersz Mickiewicza? — I zaczął cicho, ale z wielkim uczuciem deklamować śpiewanie: „Kochanko moja, na co nam rozmowa...” A gdy skończył, nakrył oczy dłońmi i odwróciwszy się od klasy, trwał długo we wzruszeniu. W klasie było wtedy bardzo cicho. Zwykle lekcje Naruszewicza były gwarne nie do poskromienia. Pamiętam wtedy stan zamyślenia swego: co mu do Mickiewicza? Co do uczucia, które trwało ma „do końca świata i po końcu świata”?

Życie umysłowe w szkole kieleckiej było dość opóźnione w porównaniu ze stanem szkół dzisiejszych, w których polonistyka, uprawiana intensywnie, już w niższych klasach dorabia się

literatów i estetów. Myśmy dopiero w klasie siódmej, dzięki Siemiradzkemu, wpadli na odkrycie, że autorzy greccy i łaciniści mogą być czytani ze względu na jakąś myśl ludzką, można było bowiem sądzić, że zastawiali oni tylko pułapki gramatyczne na biednych chłopców.

Nasze dwie ostatnie ławki zyskały nazwę „cukierni”, a to dlatego, że czytało się tam czasopisma, co przypominało kolegom czytelnictwo w cukierni. Podzieliwszy między siebie obowiązki prenumeraty, sprowadzaliśmy przez skiegnię Goldhara: „Prawdę”, „Przegląd Tygodniowy” i „Bibliotekę najcenniejszych utworów”. Za czasopismami nastąpiły książki, których tak wiele a tanich wydawał „Przegląd Tygodniowy”. Zrodziła się pod tym względem pewna emulacja, którą umiała podsycać księgarnia. W Kielcach nie było jeszcze wtedy kolei, transporty warszawskie do księgarń nadchodziły tylko w pewne dni tygodnia. Czekaliśmy na nie niecierpliwie; do nowości nadciągała młodzież i nieliczni profesorowie; tam w tylnym pokoju księgarń spotykało się wszystko, co w Kielcach reprezentowało niejaka do książki sławność.

Patrzę dzisiaj na te spisy rzeczy przeczytanych z pewnych niedowierzaniem, czy mogłem wiele zrozumieć z tego wspaniałego. Gdzie się to wszystko podziało w umyśle? Bo przecież wielu rzeczy dziś nie wiem z tego, co pisał Büchner czy Ribot, a inne na nowo zdobywałem potem. Przypominam sobie, że ta lektura tylko raz wplotła się w naukę szkolną. Było to wnet po przeczytaniu książki Struwego o nieśmiertelności duszy. Z nauką religii, jak można wnosić z niektórych książek, które wymieniam, nie wszystko działo się w myśl wychowawczą ks. prefekta Czerwińskiego. O naszych lekturach niewątpliwie coś wiedział i stosunek swój do

mnie ozięblił. Na lekcję religii przychodziłem nieprzygotowany, miałem wiele szacunku dla prefekta i niezmienne się bałem jego surowości. Toteż przeraziłem się (było to pod koniec ósmej klasy), gdy wywołał mnie z listy. Pytanie dotyczyło nieśmiertelności duszy. Zebrałem wtedy w myśl całą swoją wiedzę książkową i wymieniałem dowody za Struwarem. Ks. prefekt słuchał uważnie, ale nie wdziałem w jego oczach zadowolenia, aczkolwiek bacznie mi się przyglądał, co mnie bardzo niepokoiło. Musiało być coś protestanckiego w tym, co mówiłem.

Jakże trudno młodzieńcowi wymiarować drogę, gdy każdy autorytet nauczyciel, każda książka — czego innego o tym samym uczu, a wpływy katechizmu, podręcznika, publicystyki, literatury waży się i ścierają, jak fale niespokojne między wiatrem a brzegiem, do którego młodzież wyciąga ręce. Zdaje się, że jednak w tym wieku najwięcej jedności tonu nadaje duszy poezja, ściągająca umysł z dowolnych dróg medrakowania na teren życia, uczuć i popędów, który po wszystkie czasy będzie żywołem decydującym o przyszłej postawie człowieka wobec świata i o jego charakterze.

W UNIWERSYTECIE

Egzaminy maturalne powiodły się bardzo dobrze. Z żalem żegnałem się z Kielcami, zwłaszcza z rodziną pp. Swidów. Na całe życie została mi z czasów tutaj spędzonych pamięć niewysłowionych w swym uroku uczuć, jakie żywiłem dla panny Lucyny Swidówny. Z tą podwójną maturą wyjechałem zrużna na „kondycję” do Ksoń z dwoma Zeydlerami, których byłem od dwu lat korepetytorem, a stamtąd z końcem sierpnia koleją (od Zawiercia) do Warszawy, gdzie spotkałem się z ojcem w domu stryja Leonarda, u którego przed laty, jako dziecko, kwatrowałem.

Rodzice mieszkali podówczas w Ja-

godnem między Łukowem a Siedlcami (parafia Domanice, gmina Gabie). Poznałem też nową siedzibę dopiero na święta Bożego Narodzenia, zostałem bowiem w Warszawie, aby się zapisać do uniwersytetu. Dużo było gadania o wyborze zawodu, ale nikt nie umiał mi nie stanowczego doradzić. Stojąc w uniwersytecie (w owym pałacu Kazimierzowskim, gdzie niedługo w Szkole Ryckarskiej kształcił się mój dziadek) przed wywieszonymi programami nauk, dziwowałem się mnogości nauk i stukałem w palce. Pociągnęły mnie zapowiedziane na wydziale prawniczym wykłady filozofii Henryka Struwego. Zdecydowałem się być... prawnikiem. Mieszkałem zrazu w wynajętym pokoiku na ulicy Świętokrzyskiej 18, potem razem z Tadeuszem Wędrchowskim z Suchedniowa i Stefanem Tomaszewskim z Jaksie wynajęliśmy wspólny pokój na ul. Brackiej 5, u p. Szaramowiczowej. Zostałem korepetytorem jej syna.

Poza wykładami (litografowanymi) to i owo się czytało. W owych latach 1884-6 czytało się nade wszystko i nagminnie to, co wydawały „Przegląd Tygodniowy” i „Prawda”. Każdy w tym pokoleniu czytać musiał Buckle'a „Dzieje cywilizacji Anglii”, Drapera „Dzieje stosunku wiary do rozumu”, „Dumania pesymisty” Świętochowskiego i jego dramaty („Aspazja”), wykłady o literaturze Brandesa i in.

W naszym kółku kielczan ta była odmiana, że jednak na pierwszy plan wysunęły się potrzeby dokształcenia się w zakresie dziejów Polski. Studiowałem tedy dzieła: podręcznik H. Szmitta, potem Bobrzyńskiego, Szujskiego, studia Piotra Chmielowskiego, a zwłaszcza jego monografię o Mickiewiczu. Wiele czasu zajmowała jednak beletrystyka, a był wówczas jej rozkwit. Czytało się więc „Ogniem i mieczem”, tomiki noveli Sienkiewicza, „Nad Niemnem”, „Placówkę”, nowele Dygasińskiego.

Należałem do kółka literackiego, gdzie odczytywałem referaty. Było to kółko kielczan, zorganizowane przez starszego kolegę Karola Koziorowskiego. Kolega Eugeniusz Lipski (zmarł wkrótce w r. 1886) opracował i odczytał referat o Goszczyńskim, kol. Wędrchowski o Al. Grozie, kol. Łuszczkiewicz o Olizarowskim, kol. Tomaszewski o „Grażynie”, „Konradzie Wallenrodzie”, kol. Paweł Zaorski o Mickiewicz, apokole towarzyszy, Łuszczkiewicz o „Panu Tadeuszu”, ja odczytałem referaty o „Marii” Malczewskiego i o działalności profesorskiej Mickiewicza w Lozannie.

Najlepiej pracowało się duchowo w Jagodnem podczas wakacji. W Warszawie, w śródmieściu, przy ciągłym obcowaniu, a nawet mieszkaniu w jednym pokoju z rówieśnikami różnych temperamentów i potrzeb umysłowych, umysł zbytby był rozpierchnięty. Na wsi koncentrowałem się. Dworek nasz dotykał ogromnie do lasu. Przyroda podlaska, pełna melancholii z powodu ubóstwa gleby, działała na mnie uspokajająco. Łagodność ludu, z którym tutaj żyło się bliżej niż w Siekiernie, harmonizowała swoją szarością z piaskami. Sympatia potęgowała się współczuciem, miałem bowiem wrażenie, przez porównanie z bujnością życia w Świętokrzyskim, że tutaj ludowi dzieje się krzywda. Coraz dokładniej wtajemniczałem się w życie wsi, spisuując, gdzie się dało, pieśni i opowiadania. Głównie jednak chodziło mi o napisanie dużej noweli, takiej, jakie pisał Dygasiński, a zarazem takiej, jakie pisał Sienkiewicz. Miała to być smutna opowieść o rodzinie Szerszeńców, której się nie wiodło, walczącej o byt.

W zupełnej ciszy, pozbawiony towarzysztwa, otoczony ze wszystkich stron lasami, wiele czytałem i pisałem.

(Dalszy ciąg nastąpi)

HISTORIA

DZIEJE POLSKI NOWOŻYTNEJ W OŚWIETLENIU KONOPCZYŃSKIEGO

Władysław Konopczyński: „Dzieje Polski nowożytnej” — tom pierwszy, 1506 — 1648. Wydanie drugie. Staraniem Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie. Wydał B. Świdorski, Londyn 1958, str. XII + 437 i nb 3. Cena 30/- w broszurze, 35/- w oprawie.

Trudno o coś bardziej potrzebnego, pożytecznego i aktualnego, niż obecnie ponowne i w połowie już dokonane — drugie wydanie znakomitej książki o „Dziejach Polski nowożytnej” najwybitniejszego ich znawcy, zmarłego 13 lipca 1952 r. profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, Władysława Konopczyńskiego.

I to nie tylko ze względu na wartość naukową, pedagogiczną i literacką dzieła wielkiego uczonego, ale wobec wydania w Kraju, w Warszawie pod egidą Polskiej Akademii Nauk (PAN), utworzonej przed kilku laty na wzór sowiecki, jako kierowniczej instytucji naukowej Polski „Ludowej”, którą dawniej była zasłużona od lat kilkadziesiąt Polska Akademia Umiejętności w Krakowie — „Historii Polski”.

Publikacja warszawska „Historii Polski”, obejmującej w dwu podwójnych tomach historię Polski od czasów najdawniejszych aż do r. 1864, poprzedzona była wydaniem tzw. „makiety”, czyli edycji prowizorycznej dzieła, poddanej szerokiej dyskusji. Ukazuje się ona obecnie, po dokonaniu rozlicznych przeróbek i poprawek, w wydaniu ostatecznym. Jest ona — jak wiadomo — próbą marksistowskiej syntezy dziejów Polski, która ma na celu „przeopić cały wykład treści, odpowiadającą pod względem metodologicznym i ideologicznym przyjętym założeniom marksistowskim”, by zaspokoić pilną, zdaniem wydawców, „potrzebę nowego marksistowskiego spojrzenia na naszą przeszłość”, opartego na materialistycznym pojmowaniu dziejów.

Właśnie to równoległe do marksistowskiej publikacji warszawskiej wydanie dzieła Konopczyńskiego, rozpatrującego dzieje nasze nie z punktu widzenia doktryny jakiejś, lecz pod kątem realizmu historycznego i bezstronnej prawdy naukowej, sprawia, że jest ono szczególnie aktualnym i czyniącym zadość istotnej potrzebie naukowo-społecznej, jako w pewnej mierze przeciwwaga i odtrutka o wyjątkowo dużym ciężarze gatunkowym w stosunku do tamtego doktrynerskiego i propagandowego ujęcia dziejów naszych.

Władysław Konopczyński był nie tylko wielkiej miary historykiem-badaczem, ale i niezwykle zasłużonym profesorem historii: zajmował przez lat wiele na Uniwersytecie Jagiellońskim katedrę historii Polski, katedrę niegdyś Szulskiego i Smolki, — był więc wychowawcą kilku pokoleń młodych historyków polskich. Do tego — pedagogicznego — zakresu działalności jego należy zaliczyć trzeba szereg cennych jego prac syntetycznych o charakterze podręczników uniwersyteckich.

Do nich należą i pierwsze wśród nich miejsce niewątpliwie zajmują jego dwutomowe „Dzieje Polski nowożytnej”, obejmujące czasy od r. 1506 do upadku dawnego państwa polskiego, tj. do r. 1795, które w pierwszym wydaniu ukazały się w Krakowie w r. 1936 (str. 437 i 460; Drukarnia Pawła Mitregi w Cieszyńcu), obecnie zaś, staraniem Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie, a nakładem Księgarni B. Świdorskiego ukazują się w Londynie, w wydaniu drugim, jako przedruk foto-litograficzny wydania pierwszego (Drukarnia Polska „Leopolis Co. Ltd.” w Londynie). Tom pierwszy, przedstawiający czasy od r. 1506 do 1648, wyszedł już z druku, tom drugi (1648—1795) wyjdzie w październiku r.b.

Pisał swe dzieło Konopczyński z myślą nie tylko o młodzieży uniwersyteckiej, ale, jak zaznacza we wstępie, miał również na względzie potrzeby wykształconej warstwy czytelników, zwłaszcza nauczycieli, polityków, publicystów, działaczy społecznych. Z uznaniem mówi o tych, którzy mu w pracy pomagali (zwłaszcza o śp. Wacławie Sobieskim). Wyraża też nadzieję, że, z jednej strony, może dzieło jego zachęci kogoś z historyków do przedstawienia w podobnym zakresie dziejów Polski porządkowej, nowocześniejszej (1795—1918) i niepodległej, z drugiej zaś — przyspieszy ukazanie się wielkiego, obszernego zbiorowego wykładu całokształtu dziejów naszych, co było zawsze jego marzeniem.

W „Dziejach Polski Nowożytnej” kreśli Konopczyński obraz jednolity, i mimo konieczności kondensowania treści zawierający tak próby rewizji dotychczasowych poglądów (przeciwstawiając się zwłaszcza poglądom Bobrzyńskiego), jak i nowe

ujęcia syntetyczne. Autor dał tu nie tylko ścisłą, przejrzystą opowieść o faktach szczegółowych, oświetlonych z bezstronnością, ale rozciął przed czytelnikiem szerokie perspektywy na poszczególne okresy.

W wydanych obecnie tomie I-ym takimi szeroko i wyraziście omówionymi okresami są czasy Zygmunta (s. 1—129), łącznie z najdłuższym w naszych dziejach nowożytnych panowaniem „Jagiellona, chociaż po kadzieli” Zygmunta III Wazy (s. 171—282). Wspaniałe są charakterystyki ówczesnych monarchów, np. „Króla-Dojutrka” Zygmunta Augusta, człowieka „subtelnej, bogatej indywidualności”, posiadającego „mądrość i kulturę polityczną na najwyższym poziomie”, za którego czasów ogół polski „wzniósł się do godności samowiednego narodu”, „odpowiedzialnego za siebie w wyższym stopniu, niż którykolwiek wówczas naród na świecie, nie wyłączając Anglików, Wenecjan, Holendrów czy Szwedów”, król jednak, choć twórca unii, „testamentu politycznego” dać mu nie potrafił, lecz tylko „błogosławieństwo i wezwanie do miłości”... (s. 69, 128-9)...

Również świetna jest charakterystyka Batorego, jako „człowieka i króla” (s. 145—147), lub Zygmunta Wazy, który, „choć orłem nie był”, choć był „uparty, ciasny, obcy narodowi” ale „na wskroś politycy i kulturalny”, „swe ramię króla konstytucyjnego spełniał poprawnie”, „żył trzeźwo, przystojnie, w zgodzie z sumieniem i na poziomie idei swego wieku” (s. 180-81, 282), czy wreszcie Władysława IV, który był człowiekiem „wysokiej kultury, o najszlachetniejszych aspiracjach, marzytel”, „przyjaciół uciśnionych, tolerant i polityk”, który „zadanie z zagadnień życiowych Polski nie zdołał rozwiązać” (s. 337).

Wszakże nie tylko „Najjaśniejsi regnanci”, — wybitni przedstawiciele społeczeństwa, czynni, w znaczeniu dodatnim i ujemnym, politycy, pisarze, wodzowie (Modrzewski, Orzechowski, Przyłuski, Uchański, Zamoyski, Zembrzydowski, Żółkiewski, Ossoliński...) są charakteryzowani zawsze dosadnie, bezstronnie i trafnie. Poszczególne wypadki dziejowe przedstawione są w sposób obrazowy, często z podaniem nieznanych szeregów, uderzających wyobraźnię szczegółów, niekiedy z dużą dozą dramatycznego napięcia np.: sprawy egzekucyjne (49—56, 78, 84, 111—128), sprawa Halszki z Ostroga (s. 88—89), sprawa Zborowskich (s. 166), unia brzeska (189—192), „Dymitriada” (s. 205—207), rokosz Zembrzydowskiego (s. 212—225), Cecora i Chocim (s. 257—263), walka o Bałtyk i utrata Rygi (263, 265-66) itd. itd.

Jest to tym ważniejsze, że historiografia krajowa, często przesiąknięta arborowaniami z góry hasłami materializmu dziejowego i szukaniem dążeń i odruchów przede wszystkim masowych, usuwa niejako w cień jednostkę ludzką, człowieka z jego charakterem indywidualnym, tudzież lekceważy fakty szczegółowe („faktografie”), usiłując nieraz w oderwaniu od nich tworzyć mniej lub więcej dowolne syntezы społeczno-gospodarcze.

Zaznaczyć też należy, iż w „Dziejach Polski nowożytnej” Konopczyńskiego szeroko uwzględnione zostały dzieje Litwy i w ogóle ziem wschodnich Rzeczypospolitej, ich związki z Polską i z Zachodem, co ze względu na dzisiejszą aktualność polityczną, za że-

laznymi kurtynami celow i z nakazu jest zaniebywane i pomijane lub niezgodnie z rzeczywistością historyczną przedstawiane.

Sprawy polityczne, związki i stosunki międzynarodowe Polski w książce Konopczyńskiego są wysunięte na czoło. Jednak, obok „dynamiki” historycznej bynajmniej nie są pominięte zagadnienia, związane z tak doniosłą w dziejach „statyką” historyczną: zagadnienia „statyczne” są po-

sob i miejscowości do całości dzieła, co niezmiernie ułatwi korzystanie z książki.

W czasach wojennych i powojennych obecnych, — poza paru podręcznikami szkolnymi (jak np. znana i nader pożyteczna książka Anatola Lewickiego „Zarys Historii Polski” z poprawkami i uzupełnieniami J. Jasnowskiego i F. Lenczowskiego),

Bo „historia, jak słusznie zauważono, wtedy bywa najlepszą mistrzynią życia, gdy najmniej ma pretensji do pouczania ludzi”.

STANISŁAW KOŚCIAŁKOWSKI

OD SCHAFFA DO MICEWSKIEGO

Od dłuższego czasu trwa na łamach tygodników krajowych dyskusja na temat obojętności społeczeństwa dla tego co partia uważa za swoją ideologię. Najszerze warstwy społeczne

Tak więc odbywa się dyskusja na temat etyki, a raczej braku etyki socjalistycznej czy w ogóle świeckiej. Adam Schaff szuka magicznej formuły na wynalezienie tej etyki, a przy okazji stwierdza, że przepełnione kościoły w Polsce to nie przejaw wiary, tylko demonstracja polityczna. Gdybyśmy wzięli pana Schaffa za słowo, musielibyśmy przyznać, że to demonstracja potężna, zważywszy na ilość wiernych. W każdym razie etyczne poszukiwania marksistów i przedstawiony przez nich samych obraz społeczeństwa, nie pozostawia wątpliwości co do tego, że model ideologiczny komunistów narodowi nadal jest obcy. Stąd zapewne pochodzą incydenty, roznamiętniane ostatnio przez propagandę partyjną. Incydenty z zakresu wzajemnej tolerancji.

Był czas, kiedy sadzano księży na ławach oskarżonych za spekulację, za czynny niemoralny, za okrucieństwo wobec dzieci. Pamiętamy dokładnie te procesy. Pozostały zresztą po nich materiały na piśmie. Dziś partia podenerwowana własnym wybojewaniem w narodzie wydaje się znów sięgać do tego wzoru. Dowiadujemy się, że w Pruszkowie władze wykryły w szkole jakąś organizację wśród młodzieży, jakiś Korpus Obrony Narodowej. Wiadomość ta byłaby niezbyt poważna i na pewno nie warto byłoby jej omawiać. Ale wiadomość została uzupełniona bardzo charakterystycznym dodatkiem. Tym mianowicie, że ksiądz katolicki Ludwik Zuchmański, katecheta w tej szkole został w związku z wykryciem tajnej szkolnej organizacji aresztowany, a razem z księdzem dwóch uczniów.

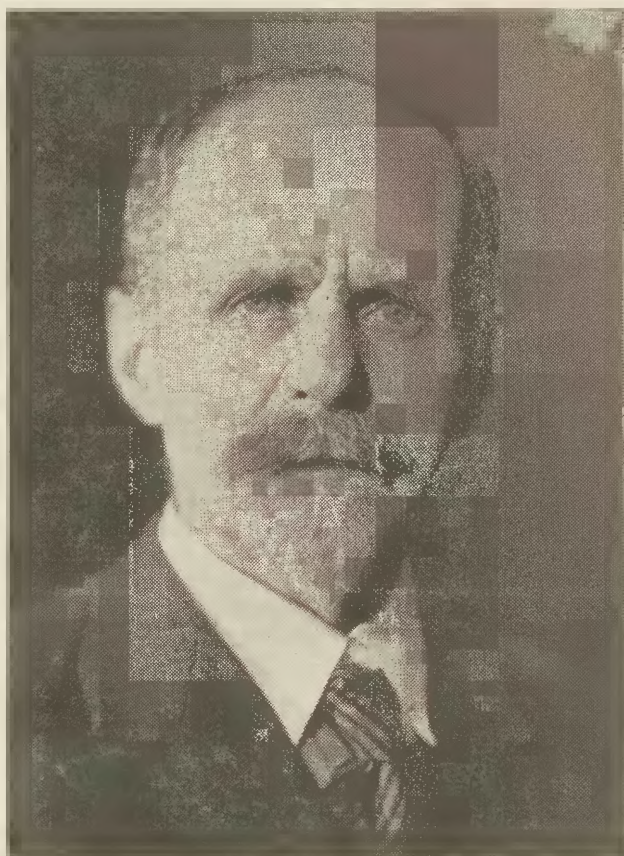
Innym przejawem obecności ideologii komunistycznej w Polsce jest krótka historia odprężenia kulturalnego. Jako reprezentant tego kierunku od czasu przemian październikowych figurował w rządzie minister kultury Karol Kuryluk. Dziś został usunięty. Za mało czujności? Za mało wiary w dogmat kultury komunistycznej? Trudno zgadnąć i nie warto nad tym się zastanawiać. Winą Kuryluka w oczach partii było zapewne to, że w okresie liberalizacji polityki kulturalnej wyszło na jaw, jak mało pisarzy przyswoiło sobie mitologię partii. Jak nie tylko starsi, ale i młodszy, wychowani już w okrutnej szkole drętwego kłamstwa zaczęli szukać własnej drogi do człowieczeństwa i patriotyzmu. Partia może kulturę polską obniżyć, przerobić jej na swoją modłę nie zdolna. Bo kultura polska i cele partii komunistycznej to zupełnie dwie różne rzeczy.

Na tym tle z zacięciem i przeżył w tygodniku partyjnym „Polityka” gościnny artykuł dwójga publicystów Anny Morawskiej i Andrzeja Micewskiego. Oboje dyssydenci czy dyżurni polityczni z Pax, w którym pan Micewski w swoim czasie miał stanowisko jednego z naczelnych ideologów godzenia katolicyzmu z tak zwanym socjalizmem. Artykuł wychodził z założenia, że w społeczeństwie istnieje apatia, że bezpartyjność inteligencji i intelektualistów przechodziła kryzys i że podstawową tego przyczyną jest brak kontaktu między partią a niemarksiowskimi środowiskami społecznymi. Innymi słowy nie ma wiary. Autorzy artykułu chcieliby temu zaradzić. Bo jako katolicy i aktywiści bezpartyjni, chcieliby partii pomóc. Zależy im na tym, aby władza partii opierała się na szerokiej bazie. Chcieliby zorganizować niemarksiowskie społeczeństwo do współpracy z partią. Ba, ale jak to zrobić?

„Marksistowska publicystyka ideologiczna wokół polskiej drogi do socjalizmu musi mieć swój odpowiednik w publicystyce bezpartyjnej, to jest takiej, która zajmując się zagadnieniami politycznymi i społecznymi, operowałaby językiem i motywacją, możliwą do przyjęcia dla niemarksiowskich, a więc dla ludzi przeważnie wierzących...”

Po październiku wydawało się, że człowiek w Polsce dojdzie do głosu. Obecnie Polacy z dnia na dzień są przekonywani, że głos ma dalej formułka. A największym zmartwieniem ideologów komunistycznych jest to, jak żywych ludzi, w ilości możliwie największej, do tej formuлки wtłoczyć.

W. T.



WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

ruszane w wielu miejscach książki, prócz tego zaś autor poświęca im osobno i wyłącznie około stu stron swojego dzieła (s. 338—426) w tomie I-ym pt. „Polska w wieku Zygmunta” (s. 338—426), omawiając tu sprawy następujące: „Kraj i ludność”, „Społeczeństwo i gospodarstwo”, „Państwo” (sprawy organizacji państwa i ustroju społecznego), wreszcie „Kultura”. — Jest to doskonale skrócone ujęcie wszystkich najważniejszych spraw, stanowiących podstawę dziejów politycznych narodu, pozwalające je bliżej zrozumieć, ocenić i organicznie ze sobą powiązać.

Każdy rozdział poprzedzony jest bardzo cennymi wskazaniem bibliograficznymi (ss. 1, 67, 130, 171, 283, 338), na końcu zaś tomu podane są ciekawe uwagi objaśniające.

Te same zalety, co tom I-szy, posiada również tom II-gi, na razie znany nam z coraz rzadszego dzisiaj wydania pierwszego, którego wydanie londyńskie będzie homograficznym powtórzeniem. Może posiada on je w stopniu jeszcze wyższym, ze względu na to, że Konopczyński, przy swojej fenomenalnej wprost erudycji historycznej, ze szczególnym zapałem i zamiłowaniem zajmował się wiekiem XVIII-ym, którego dzieje objęte był mają właśnie tomem II-gim. Tam też na końcu znajdzie czytelnik wykaz

— z ogólnych wiekszych dzieł, obejmujących całokształt dziejów polskich, w Jerozolimie w r. 1944 wydawnictwo „W drodze” ogłosiło ponownie (jako wydanie V), — słynne „Dzieje Polski w zarysie” Michała Bobrzyńskiego, których wydanie I wyszło w r. 1877, a więc dziś już pod niejednym względem przestarzałe i w oświetleniu swoim całkiem różne od stanowiska Konopczyńskiego.

Rok ubiegły i bieżący przyniósł nam na emigracji dwa cenne wydawnictwa o charakterze syntetycznym i podręcznikowym z historii Polski dużej wartości naukowej: bardziej popularna książka Oskara Haleckiego pt. „Historia Polski” w przekładzie z angielskiego (obecnie tu omawiane wydawnictwo, obliczone na inne cokolwiek koła czytelników, pomnikowe „Dzieje Polski nowożytnej” Władysława Konopczyńskiego).

Stanowiąc one będą w biblioteczek każdego domu polskiego o pewnych ambicjach intelektualnych cenną ozdobę i pożytek, do której często się zagiada, nie mogąc się nieraz od niej oderwać, a z której wiele, bardzo wiele nauczyć się można, wzbogacając swoją świadomość naukową i narodową. Bo jest całkowicie rzetelna w swej bezstronności naukowej, nie przeprowadzając żadnej z góry powziętej i narzucanej czytelnikowi tezy.

WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI DZIEJE POLSKI NOWOŻYTNEJ

TOM PIERWSZY

Str. XII + 437 + 3 nb., z portretem autora

Broszura: 30/- lub \$ 1.25

Oprawa reks. ze złoconiami, ochronna obwolota: 35/- lub \$ 5.00

przesyłka: 1 9 lub 25c.

Tom drugi „Dziejów Polski nowożytnej” ukazuje się w październiku br. i będzie kosztował tę samą cenę co tom pierwszy

KTO KUPUJĄC TOM PIERWSZY — ZAMÓWI OD RAZU TOM DRUGI
KORZYSTA ZE SPECJALNEJ ZNIŻKI

i płaci za obydwa tomy tylko:

za wydanie w broszurze: 49/- lub \$ 7.00

za wydanie w opr. reks. ze złoc., w ochronnej obwolocie: 60/- lub \$ 8.50
(bez doliczania kosztów przesyłki)

„Dzieje Polski nowożytnej” zamawiać można w każdej polskiej i obcej księgarni, podając na żądanie nasz adres wydawcy

Drogą pocztową najlepiej zamawiać bezpośrednio u nas, przesyłając jednocześnie należność:

B. ŚWIDERSKI - 30, Buer Road, London, S.W.6

W USA należy na żądanie urzędnika pocztowego podać w pełnym brzmieniu imię i nazwisko wydawcy: Bolesław Świdorski dla przekazania pieniędzy za pośrednictwem International Money Orderu